

APOSTOŁ POLSKI

Pismo Postulacji do sprawy beatyfikacji Sługi Bożego
o. Bernarda Łubieńskiego



Numer 52 – Luty/Kwiecień 2018

Drodzy Czytelnicy!

Już niedługo rozpocznie się czas Wielkiego Postu. Jak co roku, zwłaszcza w tym okresie, próbujemy nieco zwolnić tempo naszego codziennego życia, by po raz kolejny przypomnieć sobie, po co i dla kogo żyjemy, co jest celem naszego życia tu na ziemi. W tym czasie podejmujemy różnorakie wyrzeczenia. Więcej czasu poświęcamy na modlitwę. Staramy się brać udział w nabożeństwach wielkopostnych - Gorzkich żalach czy w Drodze krzyżowej, by przez rozważanie Męki Pańskiej podziękować Chrystusowi za Jego miłość do nas. Wielu z nas uczestniczy też w rekolekcjach, by przez nie odnowić i pogłębić swoją wiarę, a później móc z radością przeżywać Święta Zmartwychwstania Pańskiego. Pomocą w tym niech będzie dla nas również relacja o Bernarda Łubieńskiego z jednej z pierwszych przez niego przeprowadzonych prac misyjnych na ziemiach polskich w Borysławiu.

Rozważanie Męki Pańskiej stanowi też dobrą okazję do tego, by zatrzymać się nad tajemnicą cierpienia, która dotyka także nas i naszych bliskich. O. Bernard doświadczył boleśnie cierpienia już w swoich pierwszych latach po powrocie do Ojczyzny. To wydarzenie naznaczyło później całe jego dalsze życie. Mówi o tym kolejny fragment jego *Wspomnień*.

Powoli dobiega końca proces beatyfikacyjny Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego odnośnie do heroiczności jego cnót. Wciąż jednak potrzeba cudu za jego wstawiennictwem, aby mógł być ogłoszony błogosławionym. Niech zatem kolejne świadectwa różnych osób o życiu i działalności o. Łubieńskiego oraz podziękowania za otrzymane łaski za jego wstawiennictwem i składane prośby, będą i dla nas zachętą do tym gorliwszej modlitwy o jego beatyfikację.

W tym świętym czasie pozwólmy prowadzić się Duchowi Świętemu, którym zostaliśmy napełnieni już w czasie chrztu św., a który jeszcze pełniej obdarzył nas swoimi darami w sakramencie bierzmowania. Niech On dopomaga nam w naszym osobistym nawróceniu i dawaniu świadectwa, że Jezus choć umarł, to jednak zmartwychwstał i żyje.

Redakcja

PARALIŻ

Misericordiam Domini in aeternum cantabo (Miłosierdzie Pana na wieki będę wychwalał)... Przystępuję do opowiedzenia wielkiego miłosierdzia Bożego, kiedy w styczniu roku 1885 Bóg zesłał na mnie ciężką chorobę, która mnie sparaliżowała i uczyniła kaleką na resztę życia.

Gdy w lipcu 1882 r. żegnałem się w Rzymie z moim o. prowincjałem, wtedy już biskupem Coffinem, który mnie przez dziesięć lat trzymał przy sobie i hamował moją zbyt czynną i pełną nowych planów naturę, ostatnie słowo, jakie mi powiedział, było: „Jeśli ziarno pszeniczne, wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo zostanie...”. I to się właśnie ze mną stało. Pełen życia i porywów, biegałem, pędziłem i kto wie, gdzie by mnie moja wybujała fantazja zapędziła, pewnie do piekła, aż tu stałem się zupełnie bezwładny.

Z początkiem 1885 roku zaziębiłem się, ale mimo to poprosiłem o. superiora o dziesięciodniowe rekolekcje. Czułem się niezdrów i jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa już trzeciego dnia przygotowałem się do spowiedzi rekolekcyjnej, a więc generalnej. Po pacierzach wieczornych odprawiłem ją u o. Jedka. Gdy się pochyliłem podczas absolucji i wzbudzałem skruczę, raptem uczułem taki ból około serca jak nigdy przedtem. Ale położyłem się spać spokojnie. Nazajutrz już czułem się bardzo chorym i zbolałym. Po medytacji Mszę św. odprawiłem, ale po Mszy św. już mnie brat musiał do celi odprowadzić, rozebrać i do łóżka położyć.

Co się potem ze mną działo, nie pamiętam, bo przez dwa tygodnie leżałem bez przytomności. Lekarze - miejscowy i lwowski, którego Roger przywiózł ze sobą - stwierdzili aż 4 choroby, z których każda mogła skończyć się śmiercią.

Pewnej nocy zawołałem na br. Nepomucena, który spał ze mną: „Bracie umieram ...”. Braciszek się zerwał, zawołał o. superiora. Ten zaraz przyszedł, siadł przy mnie. Pamiętam, jak się ucieszyłem, gdy mi powiedział: „Niech się ojciec nie lęka o przeszłość, bo dopiero odprawił spowiedź generalną”. Co to za ulgę mi sprawiło...

Tymczasem powstało całe zgromadzenie i przyniesiono mi Pana Jezusa i udzielono ostatniego namaszczenia. Ja byłem prawie nieprzytomny. Mówiono mi później, że przepraszałem wszystkich za dane



zgorzenia, ale ja już nic nie pamiętałem. Jeszcze dwa tygodnie walczyłem ze śmiercią.

Kiedy nareszcie gorączka opadła, pomyślałem sobie: Więc to tak człowiek umiera... Biada niewypowiadnemu... Byłbym poszedł do wieczności, zupełnie o tym nie wiedząc. Nareszcie, po sześciu tygodniach choroby, lekarz pozwolił mi wstać. Ucieszyłem się, że znów do pracy i czynu powrócę. Muszę tu nadmienić, że jeżeli tym razem nie umarłem, zawdzięczam to modlitwom naszego ludu

w Mościskach, bo oni godzinami za mnie się modlili przed obrazem MB Nieustającej Pomocy. Jedna poczciwa bednarka prosiła, żeby raczej jej dziecko umarło, a ja [żebym] żył. Dziecko umarło, a ja jeszcze żyję.

Kiedy po sześciu tygodniach choroby chciałem wstać, ręce i nogi stały się bezwładne, tak że absolutnie nic nie mogłem do rąk wziąć ani się obrócić. Byłem kompletnie sparaliżowany, bezwładny, jak dziecko trzeba mnie było karmić i wszystko około mnie robić, bo sam nie mogłem się ruszyć. To ziarno pszeniczne zamarło. Ruchliwość mej niespokojnej natury dostała cios śmiertelny.

Dzień i noc ktoś musiał przy mnie czuwać. Dwaj ojcowie nieustannie byli w kościele zajęci, trzech bracia mieli cały dom do doglądania, trzeba więc było nająć mi służących. Dr Wolfram z niewymownym poświęceniem leczył mnie, jak umiał, elektryką, kąpielami, itd., tak że powoli siły w członkach powracały, ale jeszcze do czerwca byłem Łazarzem.

Nareszcie o. Hamerle przysłał do Mościsk starego br. Piotra z poleceniem, by mnie przywiózł do Wiednia. Wsadzono mnie na pociąg i pierwszą klasą zajechałem do Wiednia. Tam znowu w Maria Stiegen położono mnie do łóżka, myślałem, że już nigdy do pracy nie powrócę. Ale Pan Bóg chciał tylko poskromić moją nadmierną aktywność.

Lekarze wiedeńscy wysłali mnie do Baden na siarczane kąpiele, do których co rano mnie z łóżka na noszach dźwigano. Wszystko to bardzo drogo kosztowało, ale kochany o. prowincjał nie żałował na tę kurację pieniędzy. Za to niech mu Bóg da niebo. Prawdziwym aniołem stróżem dla mnie był br. Piotr. Był on typem braciszka redemptorysty, którego o. Passerat wychował. Stary wiarus nieustannie się modlił, spaliśmy

w jednym pokoju. Co rano wstawał cichutko i szedł się modlić, wpiers do wspaniałych ogrodów badeńskich, a potem do fary na Mszę św. i do Komunii św. Powracał o siódmej, by mi asystować przy kąpeli. Cały dzień leżałem w ogródku hotelowym i tam jadłem. W niedzielę wożono mnie do fary na Mszę św. Poczciwy ks. Sauner, eks-jezuita, przynosił mi co rano Komunię św., a ojcowie z Maria Stiegen odwiedzali mnie co tydzień i spowiadali. Słowem, zaznałem całego ogromu miłości ojcowskiej, jaką przełożeni Zgromadzenia otaczają swych chorych. Widać Pan Bóg pobłogosławił ich zabiegi o moje zdrowie, bo po trzydziestu kąpielach już mogłem stanąć na nogi i powoli siły wracały w moje martwe członki (dorwałem się do odprawiania Mszy św.).

W oktawę św. Alfonsa odprawiłem jakby drugie prymicje w klasztoru sióstr miłosierdzia w Baden, dokąd mnie zawieziono, a potem codziennie w kaplicy domowej w hotelu. Jak tylko pióro w palcach utrzymać mogłem, zabrałem się do spolszczenia nowenny (o. Saint-Omera) do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, aby Jej podziękować za wydzwignięcie mnie z niemocy. To moje liche tłumaczenie oddał o. Jedek jako rękopis do druku panu Miłkowskiemu w Krakowie, który zrobił na tym grubym interes, bo zalał nim całą Kongresówkę.

Kiedy otrzymałem jurysdykcję do spowiadania, zwracali się do mnie niektórzy z kuracjuszków do spowiedzi w kaplicy hotelowej. Przyszła tam także pewna służąca spod Tuchowa, która służyła u pewnej hrabiny staruszki i prosiła mnie, żebym poszedł wyspowiadać jej panią, która już dawno się nie spowiadała. Z wielkim trudem wdrapałem się na pierwsze piętro i zastałem dziewięćdziesięcioletnią staruszkę, której Bóg dał tę łaskę spowiedzi przed śmiercią.

Chętnie byłbym powrócił do Mościsk, ale o. prowincjał inaczej zarządził, posłał mnie do klasztoru naszego w Katzelsdorf. Jest to wioska leżąca na stoku góry oddzielająca Węgry od Austrii dolnej. Z okien klasztoru rozciąga się piękny widok na urodzajną, winnicami pokrytą dolinę. Bardzo miłe było Zgromadzenie w Katzelsdorf, tylko niestety nie mieli dość pracy w domu i poza domem. Główna ich praca to *Aushilfen* (pomoc) w ościennych parafiach i katecheza w jednej czy dwóch szkołach. Czasem wyjeżdżał ktoś z rekolekcjami. Ja po burzliwych dwóch ostatnich latach żyłem teraz jak kartuz z Bogiem. Dużo



O. Mauron

czytałem i uczyłem się. Napisałem wówczas życiorys o. Coffina, którego jedną kopię posłałem ojcu generałowi do Rzymu.

Niebawem po moim przyjeździe do Katzelsdorf zjechał tu także o. Mauron wraz ze swym sekretarzem, o. Kannengiesserem. Wielka to była radość dla całego domu i dla mnie. Spędził tutaj dwa tygodnie. Miałem tu także przez cały tydzień swego ojca. Korzystając z jego pobytu, poprosiłem go, żeby mię pouczył o historii Pol-

ski. Ojciec, który był bardzo zdolny i odczytany, *con amore* (z miłością) na to się zgodził i od czasów Sobieskiego do ostatnich czasów dał mi istotne uniwersyteckie prelekcje, z których nabyłem zdrowe, katolickie i święte poglądy na nasze dzieje, przed i porozbiorowe.

Tak więc przebyłem w Katzelsdorf rok cały, w świętym zaciszu i zupełnym spokoju *inter libros* (pośród książek), z pożytkiem dla duszy i ciała, bo coraz bardziej powracałem do zdrowia.

W nadziei jednak, że może uda się moje kalectwo zupełnie usunąć, kochany o. Hamerle wysłał mnie jeszcze raz w roku 1887 do Baden na 30 kąpeli. Tym razem odbyłem tę kurację z mniejszym kosztem, bo mieszkalem nie w hotelu, lecz w publicznym szpitalu badeńskim, jak przystało na ubogiego zakonnika. Szpitalem zarządzały siostry miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, ale bez kornetów na głowie rozwiniętych, bo niemieckie siostry oderwały się od pnia zasadzonego w Paryżu przez św. Wincentego. Wszelako bardzo to godne i proste są siostry, pełne poświęcenia dla ubogich i chorych. Oddały mi mały pokój wśród swoich wielkich sal, a ponieważ nie miały stałego kapelana, służyłem im jako kapelan przez ten miesiąc mego pobytu i wiele pociech tu znalazłem przy obsłudze chorych i umierających. Do kąpeli musiałem iść na piechotę przeszło kilometr, ale powoli o lasce sam dałem radę. [...]

Po tej powtórnej kuracji w Baden tak dalece przyszedłem do zdrowia, że mogłem do Mościsk powrócić. I tak, już we wrześniu pojechałem na moją pierwszą polską misję i pierwszą, jaką Zgromadzenie dało w diecezji tarnowskiej, do Rożnowa¹. Na tę misję zwabiła mnie moja

¹ O. Łubieński łączy tutaj w swoich *Wspomnieniach* dwie kolejne kuracje w Baden. Druga kuracja miała miejsce bezpośrednio po rekonwalescencji

kuzynka, Bogumiła Łubieńska, która wyszła za mąż za hrabiego Jana Stadnickiego z Wielowsi.

Po tych dwóch kuracjach w Baden wyprosił mój ojciec u ojca prowincjała pozwolenie na trzecią jeszcze kurację w Busku². Otrzymał od władz rosyjskich przepustkę przez granicę, pojechałem do Warszawy, [...] [a następnie] razem z rodzicami pojechałem do Buska. Tam przez dwa czy trzy tygodnie brałem kąpiele, ale nie było woli Bożej bym zupełnie wyzdrowiał.

Aż nadto miłe były te dni spędzone w Busku, które rozpoczynałem od Mszy św. w pięknym kościele norbertanek, do której służył mi ojciec. Z rodzicami zwiedziłem okolicę Wiślicy i Pińczowa, objechałem krewnych i znajomych i wiele miłych chwil spędziłem w towarzystwie ks. biskupa Sotkiewicza ze Sandomierza. [...]

U ks. biskupa przedstawił mi się raz pewnego pewien ksiądz staruszek, dawny prokurator księży misjonarzy, który się sekularyzował. Powiedział mi, że znał jeszcze niektórych z księży benonitów, między innymi Jestersheina, który umarł jako deficient³ u sióstr szarytek, u św. Łazarza w Warszawie. [...]

Inną jeszcze wiadomość podał mi ten staruszek, a mianowicie, że ks. prałat Witkowski w Kielcach posiada kronikę naszego domu piotrkowickiego. Toteż po skończonej kuracji w Busku wstąpiłem do niego. Był to zbieracz rozmaitych ciekawych rzeczy. Cały wielki swój salon obrócił na istne muzeum ze ślicznymi obrazami i różnymi pamiątkami w szklonych szafach. Kiedy go o kronikę z Piotrkowic poprosiłem, kochany prałat nie tylko mi ją zaraz pokazał, ale siadł do biurka i napisał na niej, że ją nam odstępuje.

Miałem więc się czymś popisać, jak do Mościsk powróciłem. [...]

cji w Katzelsdorf (31.05.-2.08.1886). Po powrocie z tej kuracji pojechał razem z o. Jedkiem na swoją pierwszą polską misję w Laszkach. Misja w Rożnowie (7-15.09.1887) była pierwszą, o którą poproszono redemptorystów (w 1884 roku) po ich przybyciu do Mościsk, ale przeprowadził ją dopiero po powrocie z trzeciej kuracji w Baden (29.06.-1.08.1887) (por. *Kronika Domu ad S. Catharine V. et M. OO. Redemptorystów w Mościskach*, tom I, s.121. 180. 185. 198).

² Była to zatem już czwarta kuracja, a nie trzecia (18.07.-25.08.1888).

³ Łac. człowiek niedołączny

W następnym roku mój ojciec znowu udał się z prośbą do moich przełożonych, żeby mi pozwolili odbyć kurację w Ciechocinku⁴. Po otrzymanym pozwoleniu po raz trzeci jako redemptorysta do Królestwa wkroczyłem. Wprawdzie z rodzicami dojechałem do Ciechocinka, ale z braku pomieszczenia tylko trzy dni tu zabawiliśmy. W powrotnej drodze odwiedziliśmy naszego krewnego we Włocławku, biskupa sufragana Kossowskiego. [...]

Po powrocie do Warszawy zaprosiła mnie z rekolekcjami przełożona zakładu hrabiny Platerówny na ulicy Pięknej, z którą poznałem się w Krynicy. Było to jedno z tych dzieł Bożych ukrytych, które powstały pod błogosławnym wpływem świątobliwego kapucyna o. Honorata i ratowały wiarę w Królestwie. [...] Bo to był prawdziwy klasztor z kaplicą i Panem Jezusem obecnym na ołtarzu, gdzie kwitło prawdziwe życie zakonne. Choć nie miałem żadnego rękopisu, Bóg dopomógł, że się jakoś te rekolekcje udały. Była to pierwsza praca redemptorystów w Królestwie. [...]

Jeszcze jedną kurację pozwolili mi przełożeni odbyć, a mianowicie u ks. Kneippa w Wörishofen w Bawarii. Kurację tę opisałem w listach do mego przełożonego i one się zachowały. Było to w roku 1890, kiedy ks. Kneipp, prosty sobie proboszcz wiejski, zaczął leczyć ludzi zimną wodą i ziołami z tak dziwnym skutkiem, że wnet ludzie z całego świata doń przybywali. Przybyła też pani Barbara z Mańkowskich Kwilecka, z którą się przed rokiem w Poznańskim poznałem. Bez mojej wiedzy zaczęła ta pani napisać do o. Janečka, że na siebie bierze koszt podróży i kuracji, że z ks. Kneippem o mnie mówiła i on zapewniał, że mnie wyleczy i udzieli pomieszkania na plebanii. Była to więc piąta kuracja, jaką mi przełożeni odbyć pozwolili. Ale i ta mnie nie wyleczyła. Taka widać była wola Boża, żebym miał nogi spętane, żeby mnie nie poniosły do piekła. Chwała więc i dziękczynienie niech będą Bogu za to moje kalectwo, które mi zapewniło wytrwanie w Zgromadzeniu i przez to, jak ufam, koronę kiedyś w niebie.

o. Bernard Łubieński, *Wspomnienia*, Kraków 2009, s. 200-208

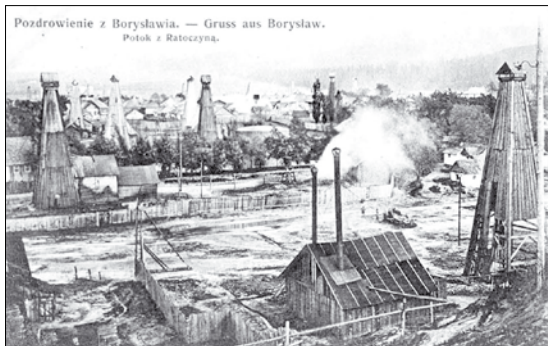
⁴ Kuracja ta miała miejsce dopiero w 1899 r. (por. *Kronika ...*, t. II, s.199-201).

Relacja z misji OO. Redemptorystów w Borysławiu od 29 września do 11 października 1888 r.

Jedynie z posłuszeństwa wyraźnej woli Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa przedstawiamy stan oplakany tego zakątka ziemi, tak bogato obdarzonego skarbami doczesnymi pod ziemią, tak ubogiego duchowo Borysławia.

Borysław, należący do parafii Drohobyckiej obrządku łacińskiego, do dwóch parafii obrządku greckiego (Borysław i Tusanowice), razem z częścią miasta tak zwaną Wolanką, liczy około 10 000 dusz. Z tych dwie trzecie to Żydzi wszechwładni w miejscu, bo burmistrz i wszyscy radcy oprócz dwóch są Żydami. Z pozostałej jednej trzeciej części ludności, dwie trzecie należą do obrządku greckiego, a jedna trzecia do łacińskiego.

Polacy więc mają z półtorej mili drogi do swego parafialnego kościoła w Drohobyczu i to drogą jak najgorszą. Rannych pociągów, jakby na złość łacinnikom, w niedzielę z rana wcale nie ma. To też tylko *cum magno incomodo* (z wielką uciążliwością, niedogodnością) na Mszę św. do Drohobycza robotnicy ubodzy i zmęczeni całotygodniową pracą mogą się dostać. Do dwóch ruskich cerkwi Polacy się nie garną. Cerkiew w Tusanowicach



jest nieco oddalona od miasta, a cerkiew Borysławska choć blisko, nie wabi naszych ludzi pochodzących z Mazurów. Ci stronią od ruskiego nabożeństwa, nie przyzwyczajeni do greckiego obrządku, a nawet wstręt nabierający do księży ruskich, gdy widzą ich

zdzierstwo, na przykład, kiedy po 5 złr. każą sobie płacić za opatrzenie sakramentami umierającego, choćby w najgwałtowniejszej był potrzebie.

Dwie są szkoły: jedna w Borysławiu, kierowana przez Żydów, [zaś] druga na Wolance, gdzie część tylko nauczycieli jest chrześcijańska.

Na Wolance od roku wybudowano kościółek piękny drewniany, który zaledwie 300 osób umieścić może. Dałby się łatwo powiększyć, jeżeliby

nie wypadło raczej w samym Borysławiu nowy kościół wybudować, gdzie Polaków jest więcej.

W tymże kościółku św. Barbary, patronki górników, dotąd zbyt skąpo pomocy duchowej mogą mieszkańcy kopalni Borysławskich otrzymać. Zaledwie co drugiej niedzieli jeden z wikarych może tu przybyć na kilka godzin. A chrzty, wyjaśnienia, pokropienie zmarłych itd. zabierają mu ten czas, tak że mało pozostaje na naukę ludu lub na duszpasterstwo i konfesjonał.

Tymczasem wielkie i szczególne są potrzeby duchowe przybyłych do kopalni. Wszyscy bowiem z daleka przywędrowali na zarobek. Ze wszystkich niemal powiatów spotka się tu robotników: najwięcej spod Tarnowa, z Jasielskiego, spod Krosna i z okolic Bochni. Są też i ze Śląska, a nawet i z Prus. Niejeden syn marnotrawny lub ojciec pijak, porzuciwszy gniazdo rodzinne, chowa tu swój wstyd pod ziemią. Jakże by potrzebował zaraz po przybyciu kapłana gorliwego, który by go dźwignął moralnie. Niestety! Znalazł zupełny brak pomocy duchowej, owszem wszystko do większej demoralizacji go pociągające.

Robotnicy w kopalniach na całym świecie słyną z niskiego poziomu moralności. Tutaj złowrogie wpływy akatolików opanowały proletariat. Żydostwo gnębi, wyzyskuje i rujnuje na ciele i duszy biednego kmiecia polskiego tu przybyłego.

Do takiej więc miejscowości wybraliśmy się we dwóch, zaproszeni i wspomóceni od przeznaczonych księży Sapiechów i od najczcigodniejszego ich plenipotenta p. Wiszniewskiego.

W drodze urzędnik, który znał tę okolicę mówił nam, że w Borysławiu trzeba nam ładnie otoczyć się policją, że życie tam niepewne itd... A my w Bogu tylko pokładaliśmy nadzieję i Matce Nieustającej Pomocy, której obraz ze sobą przywieźliśmy. I nie zawiedliśmy się w naszej nadziei. Zaledwie uroczyście wystawiliśmy obraz tej cudownej Matki Boskiej, a tłumy ludu otaczać zaczęły mały kościółek, w którym ciżba cała pomieścić się nie mogła. Od tej chwili topniały zatwardziałe serca, jak ten воск borysławski ze skał wydobyty topnieje; i praca misyjna wzmała się dziwnie, bez najmniejszego zamieszania, bez przerwy z istniejącym powodzeniem. Bank galicyjski wszelkie zrobił ułatwienia swoim robotnikom, ażeby słuchali kazania i wyspowiadali się. Żydostwo nawet, nieraz licznie zebrane na drodze i przysłuchujące się prawdę na cmentarzu głoszoną, nie przerywało kazań - chociaż ich wiary nie szczę-

dzono i dosadnie opowiadano Ewangelię o Synu Bożym - lecz owszem przytakiwali i oni, mówiąc, że misjonarze prawdę mówią. Jeden tylko plenipotent „Towarzystwa Francuskiego”, Niemiec i luteranin, aczkolwiek sam prosił, aby kazania były o siódmej rano i o siódmej wieczór, kiedy jest zmiana jego robotników, czegośmy się ściśle trzymali, dokuczał nam nieco, a jeszcze więcej swym robotnikom, którym groził karą potrącenia części zwykłej zapłaty, za godziny spędzone w wyczekiwaniu około konfesjonałów. Za to aż trzech luteran stawiało się u nas, prosząc o przyjęcie na łono Kościoła Katolickiego.

W słuchaniu spowiedzi rozpoczęliśmy według naszego zwyczaju od dzieci. Już przy ich katechizacji znaleźliśmy pierwszego dnia niezwykle brak wiedzy religijnej. Zapytane [o to], ile jest Bogów, odpowiedziało dziecko: „Dziewięć”! A gdy przy końcu nauki strofował ich ojciec, że tak mało umieją, jeden z chłopców smutnie odpowiedział przed wszystkimi: „Jakże możemy lepiej umieć, kiedy nas Żyd uczy katechizmu w szkole”.

Trzeba więc było dziatki, a nawet i niejednego ze starszych, tak z ambony jak i w konfesjonale, uczyć sześć prawd do zbawienia koniecznych i do pierwszej spowiedzi i komunii przygotować. Znalazła się tam bowiem niemała liczba wyrostków, którzy po raz pierwszy przystępowali do św. sakramentów. Czyż podobny byłby ten stan rzeczy, gdyby nie brakowało księdza na miejscu? Dzięki Matce Przenajświętszej ok. 90 dzieci skorzystało z misji.

Po wysłuchaniu spowiedzi dziatwy, zabraliśmy się do słuchania ich matek i ojców. A po komunii generalnej mężatek i żonatych z osobna przeszliśmy do pracy nad pannami i kawalerami.

Gdyśmy zasiedli do słuchania matek, a kościelny widział, jakie tłumy nas otoczyły, przyszedł zapytać: „Czy odegnać nieślubnych?” A więc wiedział, która kobieta ślubna, a która nieślubna! Niestety i on wiedział dobrze, i wszyscy w Borysławiu wiedzieli, i co gorsze nikt sobie z tego nic nie robił. Mężczyzna do kopalni borysławskich gdy przybędzie, w kawalerskim stanie długo się nie utrzyma. Wnet zejdzie się z jedną z tych nieszczęśliwych stworzeń, których napływ jest tu tak wielki. O zalotach nie ma mowy. Od razu znajdują sobie kwatery, najczęściej u jakiegoś Żyda, gdzie już po kilka par zamieszkało w jednej stancji w tych samych warunkach. Dopiero gdy dwoje lub troje dzieci mają, i te zostają przy życiu, bo trudno by znaleźć miejscowości, gdzie Anioł Stróż tak szybko zabiera dzieci do nieba, jakby mu żal było zostawić niewiniątko dłużej w tej Sodo-



Obecny kościół w Borysławiu

mie i Gomorze, dopiero po czterech lub pięciu latach pożycia mowa jest o ślubie. Ale trudności w otrzymaniu metryk, ale odległość od Drohobycza, ale tysiące wymówek, które nieprzyjaciel dusz im nasuwa, stanowią przyczyny, że od 10 lub 15 lat, a nawet i więcej żyją jako „concupinari”.

Pewien gorliwy katolik mówił nam, gdyśmy dojeżdżali do Borysławia: „Większa część ludności żyje tu na wiarę!” Niestety, zanadto mieliśmy jawnych dowodów tego sami. Na szósty czy siódmy dzień w czasie misji większa część była z nieślubnych rodziców. Sami ci ludzie przychodzili się nas pytać, czy by i oni mogli brać udział w komunii generalnej. Gdy więc te fakty wyszły nam na jaw i wiedzieliśmy, jak poniewierana była świętość stanu małżeńskiego i cnota czystości panieńskiej, na każdym niemal kazaniu gromiliśmy bezwzględność zapamiętałą ludu, wołając, aby do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy uciekali się o łaskę ocknięcia z tego opłakanego stanu.

Niewiele dni przeszło, a namacalne cuda łaski okazały się. Ile się par rozeszło natychmiast wskutek napomnień na kazalnicy danych lub z powodu odmówienia rozgrzeszenia w konfesjonale, to Bogu samemu zostanie wiadome. Ponieważ jednak zrozumieliśmy, że trudności o metrykę i odległość do Drohobycza stanowiły dla wielu z nich wymówki do gorszącego życia, ogłosiliśmy, że ci, co mają niejaki trudności względem brania ślubu, mogą się do nas udać w zakrystii. Za kilka dni mieliśmy 45 par spisanych i błagających o ułatwienie otrzymania ślubu. I cóż tu za smutne odkrycie zrobiliśmy! Prawie w każdym wypadku, nie raz, lecz po kilka razy, ci nieszczęśliwi pisali po metrykę; pomimo przesłanych 1,5 złr lub 2 złr za wypisanie, upragnionej metryki doczekać się nie mogli. Ileż to razy opowiadano nam, że metrykę ksiądz obrządku greckiego wydać nie chciał zanim mu się 5 złr nie zapłaci, dając za wymówkę, że biorą ślub gdzie indziej, a więc że żadnej korzyści z nich dalej mieć nie będzie. Z jaką

radością przyjmowali słowo nadziei, że się ten stan grzechu nareszcie zakończy, ten stan znienawidzony podczas misji. Ileż to z nich pieniądze od razu chcieli wyciągać, aby ktoś się za nich podjął wydestakować tę metrykę upragnioną. Jakże ze łzami w oku przyrzekali żyć osobno aż do ślubu i modlić się co dzień razem z dziećmi, aby Matka Boska Nieustającej Pomocy jak najprędzej otrzymała im łaskę pobrania się po chrześcijańsku. Jak rzewnie niejedni zapłakali, że nie mógł od razu podczas misji zawrzeć małżeństwa.

Aż się serce ścisnęło na widok tego wszystkiego. O, jak łatwo byłby zapobiegł kapłan mieszkający na miejscu i choć trochę gorliwości posiadający temu grzechowi spowodowanemu przez niedolę więcej jak przez złą wolę.

Im dłużej misja trwała, tym większe tłumy napływały; bo i ludność ruska na wskroś przejęta była kazaniami, i ujął ich obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, obraz w Rzymie przechowany, lecz ze wschodu pochodzący i o wschodnich rysach. Niestety ani jeden ani drugi ksiądz miejscowy obrządku greckiego nie raczył nam nawet oddać wizyty za wizytę obydwom złożoną na samym początku misji. Tylko najczcigodniejszy o. Żukowski, bazylianin reformowany z Drohobycza, okazał nam się przychylnym. Po dwakroć przybył do Borysławia, spowiadał, kazał po rusku i wykomunikował bardzo wielu w swoim obrządku.

Pomimo jego pomocy łaskawej i dwukrotnego przybycia wikarego z parafialnego kościoła obrządku łacińskiego z Drohobycza, odczuliśmy brak spowiedników podczas misji i ubolewaliśmy, że miejscowe okoliczności nie dozwoliły nam przywołać, jakżeśmy naprzód, zamierzali trzeciego ojca z Mościsk. I tak pracując dziennie i niemal nieustannie w konfesjonale od wpół do szóstej rano do wpół do dziesiątej, wyspowiadaliśmy sporą liczbę, bo rachując „pamiętki” rozdane przy każdej spowiedzi, wykomunikowało się w obydwu obrządkach około 1 200 ludzi.

Pod koniec misji dwie procesje uwieńczyły naszą pracę. Jedna, gdy wyruszano do fabryki Banku Galicyjskiego, aby stamtąd kształtnie zgotowany krzyż misyjny przynieść na barkach młodzieży i przed drzwiami kościółka na cmentarzu postawić. Druga zaś przy samej konkluzji misji. Wtedy to kilka tysięcy mężczyzn szło naprzód, a prawie drugie tyle niewiast szło za Panem Jezusem. Nie gwarnie, nie bez ładu, jak zwykle bywa w procesjach po wsiach, lecz uszykowani i jak najpobożniej, śpiewając i modląc się szli ci ludzie w wijącej się procesji przez łąkę pod górę,

z Wolanki do Borysławia i znowu przez ulice na powrót na Wolankę. Każdy czuł, że asystował przy wielkim pochodzie po bitwie wygranej nad siłami piekielnymi.

Trudno opisać istny jęk płaczu i żalu, który wydobył się z piersi tych tysięcy, gdy misjonarz po raz ostatni żegnał ich i błogosławił. Misjonarzowi też ścisnęło się serce na myśl, że musi opuścić ten lud zaniedbany dotąd. A więc [czy] nie szło tu o życie przy pracy w Borysławiu? Owszem przyłgnęło serce kapłana do ich dusz opuszczonych; im więcej były upadłe, tym więcej się ich ukochało, bo „komu mniej odpuszczają, mniej miłuje”.

Obrazu Matki Boskiej nie wzięliśmy już z powrotem ze sobą; zostawiliśmy pod opieką Matki Nieustającej Pomocy ten lud ukochany z poleceniem, aby dalej co wieczór odmawiali różaniec św. przed obrazem choć przez cały miesiąc październik, tak jak się z nami co wieczór podczas misji modlili.

Aby ich gorliwe modły otrzymały dla nich dwie łaski: 1. Ażeby jak najrychlej kapłan pełen poświęcenia zamieszkał przy ich kościółku w Borysławiu. Łaska misji św. może poruszyć najzatwardzialsze serca, lecz tylko gorliwe duszpasterstwo w dobrym je utrwała. Z Drohobycza opieka kapłanów, choćby najgorliwszych, pozostanie zawsze marną i nieskuteczną. 2. Ażeby ktoś był posłany zająć się natychmiast kojarzeniem tych 45 par błagających o sakrament małżeństwa. Za liczne są zatrudnienia wikariuszów w Drohobyczu, ażeby mogli poświęcić się temu zadaniu. Tu potrzeba czasu, aby rozpisać się po metryki i aby zbadać każdego pojedynczo i do sakramentu przygotować; trzeba pieniędzy, aby załatwić otrzymanie metryk, ogłoszenie zapowiedzi itd.; wreszcie szczególnych władz od najwyższej władzy pasterskiej, ażeby działać energicznie, jak długo ludzie pozostają w dobrych usposobieniach po misji. Na co już jeden z misjonarzy otrzymał upoważnienie¹.

Klasztor OO. Redemptorystów, Mościska d. 19 października 1888 r.,
jeden z misjonarzy o. Bernard Łubieński CSsR. Kopia rękopisu
o. Łubieńskiego, Archiwum Diecezjalne w Przemyślu.
Akta Konsystorskie. 1888 fasc. 268 nr 3195

¹ Władzę taką otrzymał o. Łubieński, o czym powiadomiono urząd parafialny w Drohobyczu z zaznaczeniem, aby o. Łubieńskiemu udzielił potrzebnej pomocy. Przemyśl, 29 październik 1888

Wspomnienia i świadectwa o Słudze Bożym o. Bernardzie Łubieńskim

I. 1893. Rekolekcje roczne - o. Bernard Łubieński.

Założeniem i przeprowadzeniem rekolekcji była modlitwa św. Alfonsa: „Panie, Ty miłujesz miłośników swoich”.

Po pierwszych dwóch dniach powiedział, że dobra wola jest, ale że łaski nie mamy dosyć i polecił o tę łaskę modlić się. Zarządził adorację Najśw. Sakramentu od piątej rano do ósmej wieczór, co pół godziny. Nawet w czasie nauk Ojca zmieniałyśmy się na klęczniku umieszczonym przed Najśw. Sakramentem. Każda, klękając, miała się oddać Panu Jezusowi jako ofiara za całe Zgromadzenie...

W czasie tych rekolekcji w dzień Matki Boskiej Szkaplerznej jedna z zakonnic (M. Antonina), wspomniawszy na słowa Ojca, że łaski mało mają zapytała nieśmiało Matkę Boską, czy teraz, gdy się tak modlą, nie mają jej więcej - usłyszała w duszy głos: „Chcesz znaku? – prosz o uzdrowienie M. Alojzy”. Poszła przed ołtarz Matki Boskiej i prosiła: „Nie jako o znak, ale jako o łaskę, wielką łaskę proszę - uzdrów tę Matkę ukochaną”. M. Alojza od dłuższego czasu cierpiała tak, że chodzić nie mogła ani do kaplicy, ani na ćwiczenia Zgromadzenia. Martwiło to ją i Matki. M. Antonina powtórzyła kilka razy swą prośbę przed ołtarzem Matki Boskiej i przed ołtarzem Serca Jezusowego i rano niespodzianie widzi M. Alojżę wychodzącą z klauzury. „Matka Boska z Lourdes uzdrowiła mnie” - mówi i odtąd chodziła przez dalszy ciąg rekolekcji - i później.

Z kroniki klasztoru sióstr urszulanek w Tarnowie,
notatki z lat 1892-93 o rekolekcjach o. Bernarda

II. Dowiaduję się, że Ojcowie piszą życie drogiego Ojca Bernarda Łubieńskiego. Czciłiśmy go jako świętego zakonnika i najlepszego przyjaciela przez lat 40. Przypatrywaliśmy się i budowaliśmy jego cnotami.

Żeby nie to, że nie mam daru narracyjnego, tobym dawno napisała o paru faktach nadzwyczajnych z jego życia - przynajmniej mieliśmy je zawsze za cudowne.

Pierwszy fakt - a może przydadzą się w jego żywocie - był następujący. Mieliśmy u siebie w Wołostkowie koło Mościsk misje OO. Redemptorystów w 1899 r. Sprowadziliśmy z mężem *facsimile* obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy z Rzymu, a Ojciec Bernard jako przyjaciel nasz był proszony o prowadzenie misji i wprowadzenie obrazu do kaplicy w parku. Kaplica była oddalona od dworu i od rozstajnych dróg, będąc na uboczu. Ludzie w tym kącie dawnej Galicji byli hardzi, krnąbrni, nie bardzo pobożni i dowiedziawszy się o misjach, odgrązali się, że na nie nie pójdą i kazań słuchać nie będą, a udadzą się do karczmy oddalonej od kaplicy o parę kilometrów. Ojciec Bernard mówił kazania piękne, przemawiające do wszystkich dusz, tak ma-luczkich, jak wielkich tego świata, ale że to był człowiek chory, na pół sparaliżowany, głos miał dość cichy. Obawialiśmy się istotnie, że przy agitacji przeciwnej wysiłki i nasze i Ojca Bernarda najdroższego, aby przemówić do każdej duszy, pójdą na marne. Jakież więc było nasze zdumienie, a zarazem wdzięczność dla Boga, jakeśmy się dowiedzieli z ust ludzi najwięcej opornych, którzy czas misji spędzali w karczmie, że wszakże tam i na rozstajnych drogach każdy słyszał każde słowo kazań misyjnych. Uważaliśmy wtedy i dziś to za cud uczyniony dzięki cnotom i pokorze Ojca Bernarda.

Drugi fakt - był nie mniej szczegółny i cudowny, a opowiedział nam go sam Ojciec Bernard. W toku opowiadania zaś, gdy spostrzegł się, że opowiada coś nadzwyczajnego i że my to jako cud uważamy, czym prędzej zakończył i nie chciał już powiedzieć, gdzie to było. W czasie misji jednej zapóźnił się Ojciec Łubieński w kościele, w konfesjonale późno w nocy. Kościół od dworu był parę kilometrów i trzeba było iść przez park bajorami i błotem po silnym deszczu. Ojciec drogi był na pół sparaliżowany. W połowie drogi pośliznął się i upadł. Miał więc w perspektywie spędzenie reszty nocy w bajorze, bo o własnej sile absolutnie nie mógł wstać. Zaczął więc się modlić - gdy wtem nadbiegł duży pies. Z początku pewien lęk przebiegł Ojca Bernarda, ale gdy

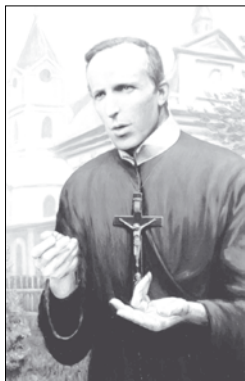
pies zaczął się łaścić i pieścić, Ojciec objął go oburącz za szyję, ukląkł i oparłszy się o jego grzbiet pomalutku wstał. Pies, choć nie znany, ani się ruszył i starał się jakby Ojcu pomóc. Gdy Ojciec wstał już po wysiłku wielkim, pies zaczął wesoło skomleć i prowadzić do dworu, co było koniecznie potrzebnym, bo było ciemno, a Ojciec nie znał drogi. Gdy zaś Ojciec stanął przed gospodarzami dworu, zaczął pytać, jak się nazywa ten cudowny, wielki pies, który go wspomógł i odprowadził i do kogo z rodziny należał. Okazało się, że nikt we dworze nie miał i nie widział takiego psa. Był cudownie przysłany przez Boga, aby Ojca drogiego z opresji wybawić. Miałam zawsze wrażenie, że ten fakt także miał miejsce w naszym Wołostkowie, gdzie Bóg po tych misjach tak hojnie swych łask szafował.

Trzeci fakt cudowny i jako taki uważany zdarzył się mnie samej. Przy przyjściu na świat dzieci chorowałam ciężko zawsze z komplikacjami. Była więc obawa o życie i w 1898 r. Wieczorem konsylium z dwóch doktorów Romera i Purzyckiego orzekło, że jest niebezpiecznie i że zejść się nazajutrz o dziesiątej. Noc była ciężka, rano pierwsza poczta przyniosła list Ojca Bernarda, w którym mnie błogosławi i prosi, abym była spokojna, bo wszystko będzie dobrze. Położyłam sobie ten list na piersiach i leżałam cichutko. Najpierw o oznaczonej godzinie przyszedł dr Purzycki, wziął mnie za puls, serce zbadał, popatrzał przenikliwie i zapytał, co zrobiłam, że mój stan od dziesiątej wczoraj wieczór tak się poprawił. Pokazałam mu list Ojca Bernarda - że go dostałam i na sercu leży. Obaj lekarze serdecznie tym byli wzruszeni, a nie mniej my, którzyśmy tej łaski doznali, bo Bóg dał nam najszcześniejszą córeczkę.

Te wszystkie fakty może słabo, nieudolnie opowiedziałam, ale mogę pod przysięgą zeznać, że miały miejsce tak, jak je opowiedziałam.

Anna Prus-Wiśniowska, List do o. Mariana Pirożyńskiego,
8 grudnia 1937r.

PROŚBY I PODZIĘKOWANIA



„Sługo Boży Ojcze Bernardzie, dziękuję za wsparcie w chorobie Józefa. Proszę Cię, wstaw się u Jezusa i uproś łaskę wiary i nawrócenia dla Brygidy i Ireneusza”.

prosi mama

„Ojcze Bernardzie, proszę Cię ponownie o pomoc w wychowywaniu mojej córki i o roztropność dla niej”.

samotna matka

„Ojcze Bernardzie, błagam o uproszenie pracy dla mojej córki Kasi oraz o zdrowie dziecka, które rozwija się w łonie mojej siostry Beaty, i jego szczęśliwe narodziny”.

Mirosława

„Ojcze Bernardzie, proszę Cię o wyleczenie mojej wnuczki Magdy z depresji oraz o silną wiarę”.

Babcia

„Ojcze Bernardzie, dziękuję za wysłuchanie moich prośb. Proszę o opiekę nad Joanną i Karoliną, a także o łaskę nawrócenia dla Marka, o powrót do wiary, Kościoła i Boga. Ojcze Bernardzie, nie opuszczaj ich”.

Teresa

„Ojcze Bernardzie, za Twoim wstawiennictwem proszę o powrót do zdrowia dla Elżbiety i powrót do normalnego życia jej syna Piotra, który na skutek wypadku stracił czucie w nogach”.

Babcia

„Drogi Ojcze Łubieński, wstaw się do Boga za moimi dziećmi i uproś im łaskę zdrowia”.

Matka

MODLITWA O UPROSZENIE ŁASK ZA PRZYCZYNĄ SŁUGI BOŻEGO O. BERNARDA ŁUBIEŃSKIEGO ORAZ O JEGO BEATYFIKACJĘ

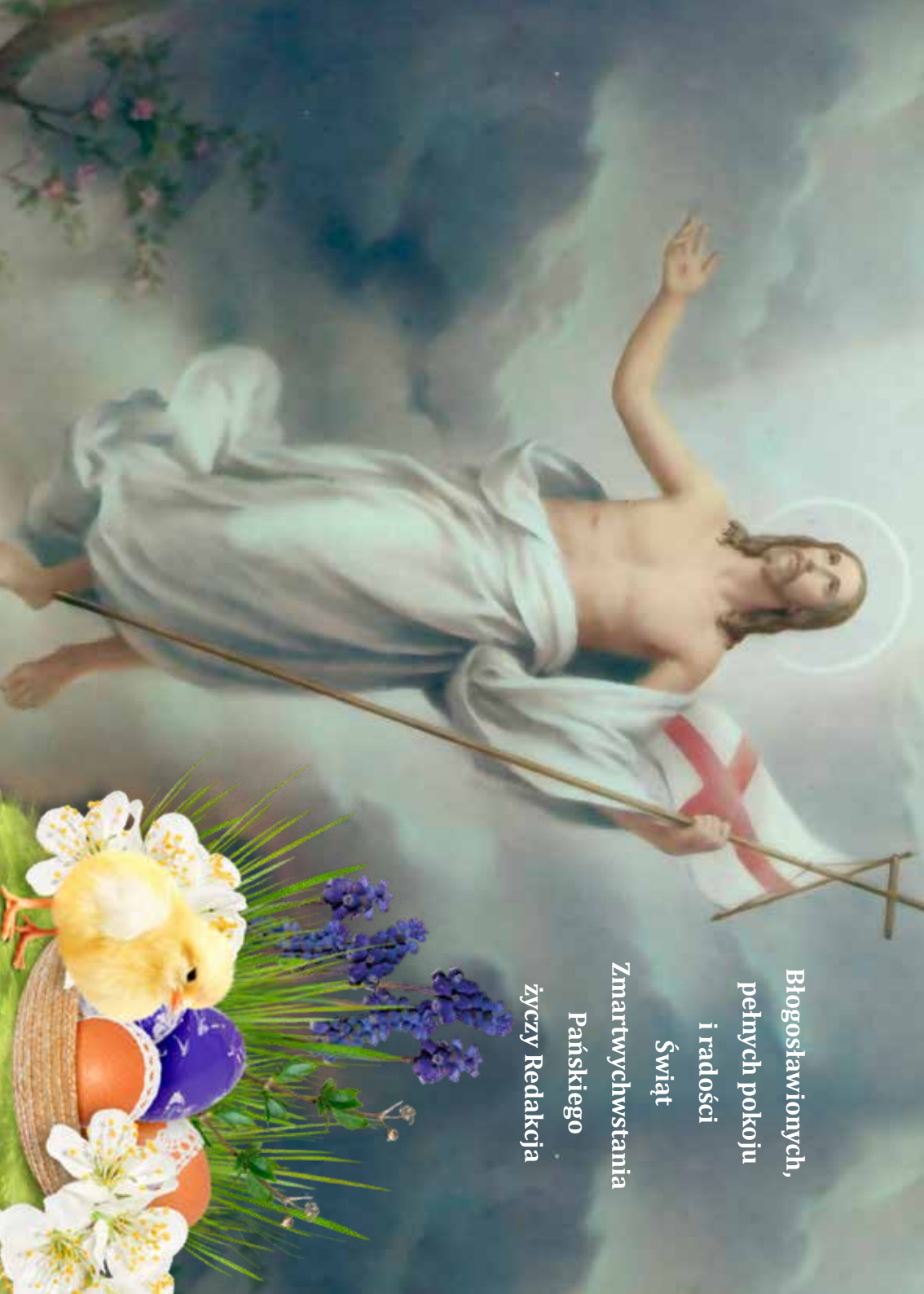
Boże, który Sługę Twego, Bernarda, obdarzyłeś apostołskim zapalem i mocą ducha w niesieniu krzyża, spraw prosimy, aby ten, który dla prowadzenia ludzi do Królestwa Prawdy i Miłości oddał całe swoje życie, doznawał czci świętych wśród wiernych Twojego Kościoła i był naszym orędownikiem u Ciebie. Udziel nam za jego przyczyną łaski..., której obecnie szczególnie potrzebujemy. Prosimy Cię o to przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Podziękowania za łaski otrzymane za wstawiennictwem Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego prosimy przesyłać na adres:

**Wicepostulator Beatyfikacji
Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego
ul. Wysoka 1
33 – 170 Tuchów**

O potrzebne informacje i obrazki można zwracać się do wicepostulatora sprawy beatyfikacji pisząc na powyższy adres lub e-mail: o.bernard@cssr.pl.

Pismo „Apostoł Polski” redaguje wicepostulator sprawy beatyfikacji Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego, o. Sławomir Pawłowicz. Pismo możecie Państwo otrzymywać drogą pocztową pisząc na adres: ul. Wysoka 1, 33-170 Tuchów, tel. 14/632 72 00, e-mail: o.bernard@cssr.pl. Uprzejmie proszę o nadsyłanie materiałów i sugestii pomocnych w redagowaniu Pisma.



Błogosławionych,
pełnych pokoju
i radości

Świąt

Zmartwychwstania

Pańskiego

życzy Redakcja